

JANUSZ KORCZAK

DZIECI ULICY



JANUSZ KORCZAK

DZIECI ULICY



 SAGA
EGMONT

Janusz Korczak

DZIECI ULICY

SAGA EGMONT

Dzieci ulicy

Copyright © 1901, 2018 Janusz Korczak i SAGA

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726090550

1. Wydanie w formie e-booka, 2018

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA oraz autora.

SAGA Books, spółka wydawnictwa Egmont

I. Nabywca dzieci

W pogodny dzień jesienny Alejami Ujazdowskimi w Warszawie sunęły tłumy ludzi. Spieszno było mieszkańcom miasta nacieszyć się ciepłem, słońcem i czystym powietrzem. Toż niezadługo trzeba się będzie ukryć w mieszkalnych klatkach, wśród murów, i czekać całe pół roku, nim spod grubej warstwy brudnego śniegu ukażą się kamienie, a nędzne miejskie drzewka pierwsze puszczą pędy wiosenne.

Środkiem toczyły się karety, powozy i dorożki, jedne wolniej, drugie szybciej, mijając się, krzyżując. W powozach panie, postrojone w jedwabie i koronki, w kapeluszach bogato przybranych kosztownymi piórami, panowie w modnych strojach z cieniutkimi laskami zdobnymi w srebrne rączki. Tu przesunął się zgrabny wolant¹ hrabiego Wikcia, tam ciężkie lando² bankiera Totengelda, ówdzie leciutki kabriolet znanej Ziuty, przyjaciółki hrabiego Zdzisia. W dorożkach dwukonnych siedzieli paniczykowie z nogami bardzo wytwornie pokrytymi pledami imitującymi tygrysie skóry. W jednokonkach znów spokojne mieszczaństwo używało przejażdżki w towarzystwie żon i licznej czeredy pociech. A trotuarami rozwijał się długim węzłem nieskończony, różnobarwy sznur pieszych.

Między bogatymi sukniami pań, ciemnymi paltami panów kręciło się wiele dzieci, zachęcając natarczywie do kupna wiązanek. Kwiaty tych bukietów były tak samo bezbarwne i smutne jak blade twarze sprzedawców.

— Niech pan kupi kwiaty.

— Niech pan kupi bukiet dla tej pani.

— Nie potrzeba.

— Jak to nie potrzeba? Taka śliczna pani.

— Nie potrzeba, powtarzam wam raz jeszcze.

— Proszę pana, dla narzeczonej o! widzi pan, narzeczona się uśmiecha.

— Kiedy to wcale nie narzeczona, to żona.

— Proszę pana, ja chcę zarobić na chleb. W domu matka, proszę pana, chora.

I do ręki dziecka pada miedziana moneta, a kwiatek wędruje do rąk towarzyszkę szkodrego młodziana.

— Ile dał?

— Dychę.

— Pi, to ci dopiero, no!

— Golec.

— A ino.

— O patrz, ten kupi. Proszę pana, niech pan kupi kwiatek dla tej ślicznej narzeczonej. Proszę pana, ojciec chory, spadł z drabiny.

— A czym jest ojciec?

— Mularzem³, proszę pani. Matka w szpitalu. Chcę zarobić na kawałek chleba.

Wśród tłumu osób siedł człowiek, który baczny okiem śledził działalność żebraczej gromady. Siedł sam jeden, w palcie z podniesionym kołnierzem, z cienką laską w ręce. Spoza binokli spoglądało na dzieci dwoje dziwnych oczu przenikliwych. Czasem tylko błysły tam jakieś złowrogie

ogniki gniewu, czasem błyskawica się na chwilę zapaliła płomieniem i znów były to oczy tylko przenikliwe, badawcze i chłodne.

— Mańka, Mańka, chodź no to!

Oczy przechodnia spoczęły na postaci Mańki i jej towarzyszu.

Dziewczynka mogła mieć lat dziesięć, choć drobna, chuda, na twarzy nosiła odcień powagi cechującej wiek starszy. W wytartej sukni nieokreślonego koloru, podartej i poplamionej, w podartym czarnym fartuchu, w bucikach wykrzywionych, które z przodu widać było aż do wysokości podartej pończochy, z tyłu i z boków zasłonięte ogonem sukni do kostek. Na talerzyku leżały w wodzie wiązanki kwiatów. W jej wielkich czarnych biegających oczach widniała przedwcześnie rozwinięta powaga, jakaś ciekawość niezdrowa i gniew niemy.

— Czego chcesz, czego się drzesz?

— Ten pan jest!

— E, jest? Aaa! widzę, widzę.

Przybiegła do pana w żółtych bucikach i lśniącym cylindrze.

— Dzień dobry panu.

— A, już mnie znalazłaś. I czego chcesz?

— Pan kupi kwiatek dla tej pani.

— Kiedy nie mam pieniędzy.

— E, pan ma.

— A skąd wiesz, że mam?

— Bo pan bogaty.

— A to co za znajomość? — zapytała oparta o jego ramię pani w wielkim kapeluszu z piórami.

— To moja nadworna kwiaciarka.

Pani uśmiechnęła się niedbale.

— Czy jesteś o nią zazdrosna? — spytał.
Pani obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.
— Wiesz, też masz pomysły.
— No, Mańka, dasz mi kwiatek na kredyt?
— Dlaczego nie?
— Chcesz różę? — zapytał towarzyszki.
— Dziękuję — rzekła z niechęcią i podrażnieniem
w głosie.
Pan dał Mańce srebrną monetę, wiązanki nie przyjął.
— Innym razem — rzekł z dygnitarskim ruchem ręki.
— Dziękuję panu.
— Ile ci dał, co?
— Dał czterdziestaka.
— Daj mi dychę.
— Ciekawam za co?
— Zawołałem cię.
— Ja bym sama go zobaczyła.
— Nie dasz? No, zobaczysz, pożalujesz.
— Masz, masz, naźrej się.
— Tylko się nie rzucaj tak bardzo.
Wziął dziesiątkę, pochwycił niedopałek papierosa,
którego rzucił jakiś przechodzień i zaciągnął się.
— Antek — zawołała nagle Mańka.
— Czego ci się chce?
— Patrz, tamten znów się tu kręci.
Antek rzucił papierosa, zmierzył groźnie przeciwnika.
— Poszedł won! Tu nasze miejsce.
— Kupiłeś?
— A kupiłem, tobie co do tego? Zmiataj, mówię ci, pókim
dobry.
Chłopiec zmierzył Antka od stóp do głowy.
— A boję się ciebie, myślisz?

— A myślę.

I Antek zbliżał się powolnym krokiem do chłopca, zachodząc z boku.

— Pójdiesz?

— Nie pójdę!

Antek pchnął chłopca bokiem, wystawiwszy łokieć. Uderzenie było silne; chłopcu spadła z głowy czapka.

— Poczekaj, dam ja ci.

Ale Antek miał przewagę pierwszego udanego ruchu. Zręcznie podniósł czapkę z ziemi, nasunął mu ją aż na nos i rzekł, pchając go przed sobą.

— Ruszaj, skądeś przyszedł.

Walka była nierówna. Antek był silniejszy:

— Poczekaj, jak będę z Wickiem, to pomówimy dziś jeszcze.

— Oj! oj! boję się Wicka tyle, co i ciebie.

— Zobaczymy.

— Ano.

— Pies szczeka, wiatr wieje.

Antek przyskoczył do przeciwnika z zaciśniętymi pięściami.

— Słuchaj, powiedz no jeszcze co.

— A powiem.

Rozległ się odgłos uderzenia.

Do walczących zbliżyła się Mańka.

— Antoś, przestań już — prosiła.

— Wynoś się, o! — rzekł zirytowany Antek.

— Patrzcie, jak się o niego boi. Narzeczona! — sztydził pokonany zapaśnik.

Antek puścił się za nim w pogoń, lecz chłopiec uciekł.

Środkiem Alej płynęły powozy, dorożki; trotuarami sunęły tłumy. Piękne stroje tworzyły barwny dywan utkany

z kosztownych tkanin.

— Proszę jaśnie pana, niech pan kupi bukiet. W domu matka chora, ojciec, sześćcioro dzieci małych.

Pan w palcie z podniesionym kołnierzem, w ciemnych binoklach, usiadł na ławce, patrzył on na cały przebieg walki spokojnie i ciekawie.

Antoś zauważył go i zbliżył się z uśmiechem.

— Niech pan, proszę łaski pana, kupi bukiet.

— Ile kosztuje?

— Co łaska, proszę pana.

— A co ja będę robił z kwiatami?

— Podaruje pan ładnej paniencie. Niech pan kupi. Chcę zarobić na chleb i na lekarstwo dla ojca. Matka mnie wysłała.

— Ty prawdę mówisz czy kłamiesz? — oczy nieznajomego głęboko zatopily się w oczach Antka.

— Prawdę, proszę pana — odpowiedział, patrząc śmiało.

— Słuchaj, jeżeli powiesz mi prawdę całą, to ci dam rubla.

— Ja prawdę mówię, proszę pana.

Niebieskie oczy Antka ciekawie obejmowały postać nieznajomego. Przybrał pokorną postawę.

— Masz rodziców?

— Mam matkę chorą, proszę pana, ojciec zmarł.

— Jak dawno?

— Przed miesiącem, proszę pana.

— Mówiłeś przed chwilą, że ojciec jest chory.

— To ojczym, proszę pana.

— Więc matka już za mąż wyszła?

— A cóż miała robić, proszę pana? Zostało nas siedmioro, toby nie poradziła!

— Ojciec w szpitalu jest?

— Tak, proszę pana.
— Więc po co żebrzesz na lekarstwo? W szpitalu dają lekarstwa.

— Dla siostry, proszę pana.
— Mówiłeś, że dla ojca musisz kupić lekarstwo?
— Nie, proszę pana, dla siostry. Ojciec w szpitalu.
— W którym szpitalu?
— U Dzieciątka Jezus, proszę pana.
— Mańka jest twoją siostrą?
— Jaka Mańka?
— Ta, która sprzedaje tam kwiaty.
— Nie, to nie siostra.
— A co ona za jedna?
— Jej rodzice... Ona jest... My mieszkamy w jednym domu.

— A czym jest jej ojciec?
— Ona nie ma ojca.
— A matkę ma?
— Ma albo nie ma.
— Co to znaczy?
— E, pijaczka, po całych dniach nie ma jej w domu.

I chora.

— Prawdę mówisz?
— A co miałbym kłamać?
— A gdzie ty mieszkasz?
— Na Szulcu.
— Pod którym numerem?
— Pod piętnastym.
— Jutro będę u was.
— Kiedy ja, proszę pana, mam kupić lekarstwo.
— To chodź ze mną, zaprowadź mnie teraz.
— E, teraz nie mogę.

- Kłamałeś?
- Ano, kłamałem.
- I nie powiesz mi prawdy?
- A nie.
- Dlaczego?
- Bo nie.

Antoś oddalił się rozgniewany.

- Coś z nim mówił? — pyta go Mańka.
- E, trajlował⁴ tam.
- A co mówił?
- Pytał się o mnie i o ciebie.
- A co on chciał?
- Choroba go wie. Chodź stąd, bo się jeszcze będzie czepiał.

Wieczór zapadał. Aleje powoli pustoszały. Rodziny z dziećmi powracały gromadnie do domu, powozy rozprysły się. Chłodny wieczór jesienny rozpędził ostatki spacerujących. Niebo się zachmurzyło, powiał wiatr silny. Liście z głuchym szelestem opadały z drzew na ziemię.

Mali roznosiciele kwiatów, drżąc z chłodu, tym natarczywiej ofiarowywali swój towar.

Czasem policjant zamajaczył na tle wilgotnego wieczoru, a wtedy dzieci na dane hasło kryły się za drzewa, lub przebiegały przez środek ulicy.

Wreszcie ucichło zupełnie.

Antoś wracał z Mańką; zimno im było w mgle jesiennego wieczoru. Szczególniej chłopiec w swych dziurawych spodniach i jakiejś przezroczystej bluzie, narzuconej na koszulę, czuł chłód dotkliwy.

— Poczekaj, kupię papierosów.

Antek wszedł do sklepiku, kupił kilka sztuk papierosów, dla Mańki serdelek i czekoladę w srebrnym papierze.

— Masz.

Zapalił papierosa.

— Ile tam masz? — zapytał Mańkę Antek.

— Brakuje mi ośmiu kopiejek.

— Masz, niech cię tam. Czort go wie, w jakim on dziś humorze.

— Dziękuję ci. A ty?

— O, ja swoje zawsze zarobię. Żeby nie ten stary grzyb, to bym miał rubla dla siebie.

— Ty tak jakoś umiesz.

— Owa, wielka sztuka. Żebym to ja był dziewczyną, tobym jeszcze więcej zarobił!

— A jakże. Lepiej być chłopcem.

— Co ty tam wiesz... Dlaczego ty nigdy w rękę nie całujesz?

— Bo nie chcę i nie będę.

— Fi, takaś harda. W interesie tak nie można.

Biegli w stronę Wisły.

Gdyby się Antek albo Mańka byli obejrzeli, ujrzeliby idącego krok w krok za nimi w palcie z podniesionym kołnierzem i w binoklach ciemnych mężczyznę. Śledził on tę parę przez cały wieczór, siedł za nią, czekał, aż Antek wyjdzie ze sklepiku, a teraz zmierzał w stronę Wisły. Mocniej nasunął on kapelusz na czoło, czasem przystawał na chwilę, cofał się o kilka kroków i znów siedł za dziećmi, przyciskając w prawej ręce błyszczący przedmiot.

— Słuchaj, Antoś — zapytała nagle Mańka — czy ty się nie boisz Wicka?

— Co się mam bać?

— A jak on cię zbije; on silniejszy, a może i innych namówić.

— Już ja sobie poradzę. Nie takich rydzów widziałem.

Domy były coraz mniejsze; parkany oddzielały pojedyncze zabudowania, bruk stawał się coraz nierówniejszy, a latarnie coraz mniej rozpraszały ciemności.

Na zakręcie ulicy ukazało się dwóch chłopców.

— Antoś, patrz — zawołała z trwogą dziewczynka, chwytając Antka za rękę.

— Puść, głupia.

— Uciekajmy.

— Ja bym uciekł, ale ty?

— To weź moje pieniądze i leć.

— Głupia jesteś.

Ciemne sylwetki chłopców znaczyły się coraz wyraźniej.

— Dobry wieczór — zawołał ironicznie czternastoletni Wicek.

W ręce Antka błysnął jakiś przedmiot niewielki.

— Tylko się zbliżcie.

— Fi! fi! ja się twojego noża nie zląknę.

— Zobaczymy.

— Więc nożem mi grozisz?

— A nożem.

— E, rzucisz go zaraz.

— Antek! — zawołała Mańka.

— Nie rzucę. Cicho bądź.

— E, rzucisz.

Walek cisnął w przeciwnika kamień. Antek odskoczył w bok i w mgnieniu oka rzucił się i powalił chłopca na ziemię.

Drugi chłopiec nadbiegł z tyłu, ale Mańka pochwyciła go za ucho i ciągnęła z całych sił.

— Puść mnie.

Z dala dały się słyszeć czyjeś kroki.

— Ratunku! — zawołał Walek, który aczkolwiek silniejszy, nie był tak zwinny jak Antek.

Chłopiec zerwał się, cisnął nóż za parkan, a sam rzucił się do ucieczki.

W tej chwili ukazała się postać policjanta. W dwóch skokach dogonił Mańkę i pochwycił ją.

— Co ty tu robisz?

— Idę do domu.

— Do domu? A może byś do cyrkułu⁵ ze mną poszła?

— Proszę pana, za co?

— A czego krzyczałaś?

— Bo chłopak chciał mi odebrać pieniądze. Jest tu za parkanem.

Za parkanem dały się słyszeć głośne kroki, jednocześnie rozległo się szczekanie psów i szamotanie się z nimi chłopca.

Policjant przesadził parkan. Mańka pędem puściła się przed siebie.

Kto by widział, że z ukrycia, z wgłębienia między murem i parkanem, wyszedł człowiek i pobiegł za Mańką, ten by mógł sądzić nie bez powodu, że jest to winowajca istotny tej walki nocnej.

Mańka biegła szybko. Krople potu spływały jej z czoła. Strach przed tym cyrkułem, który znała ze słyszenia, był nad wyraz wielki. Ileż to razy już już miała się tam dostać, ale wypłakała, wymodliła się lub uciekła w drodze. A ten cyrkuł, jak widmo groźne, jak upiór straszny, ścigał ją w sennych marzeniach i na jawie.

Na rogu dwóch ulic, które się krzyżowały, stał domek drewniany, a w nim szynk z pozaklejanymi od ulicy szybami. Dalej ciągnął się już tylko szereg parkanów, w dali w ciemności majaczyła Wisła.

Do tego szynku wbiegła Mańka; przebiegła szybko pierwszą i drugą izbę, otworzyła drzwi, które prowadziły na korytarz długi, na końcu którego znajdowały się schody.

— No, jesteś? — zapytał z góry Antoś.

W tej chwili drzwi się otworzyły, jasna smuga światła na chwilę rozproszyła ciemności.

— Kto to? — zapytała z niepokojem Mańka.

Nie było odpowiedzi.

— Czy to ty, Szmul?

Milczenie.

Mańka przebiegła schody, słysząc za sobą w ciemności czyjeś kroki niepewne.

— Kto to? — zapytała raz jeszcze, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wbiegła na poddasze do pokoju razem z Antosiem i zamknęła drzwi na klucz.

— Czego hałasujecie tak? — ozwał się z wnętrza ostry głos męski. — Nie możecie wejść spokojnie.

— Bo... bo... tam ktoś jest.

— Jaki ktoś?

— Jest tam; nie wiem, słyszałam, widziałam, jak wchodził.

— Nie łżyj tylko, rozumiesz?

— I ja widziałem — dodał Antek.

— Czy jeden?

— Zdaje się, że jeden.

Dało się słyszeć otwieranie i we drzwiach z lampą w ręce stanął mężczyzna.

— Kto to?

— Ja — rzekł nieznajomy w palcie z podniesionym kołnierzem, w binoklach.

— Czego pan chce?

— Chcę wejść.

— Jakim prawem?

— Mam do pana interes.

— Ja w nocy nie załatwiam interesów.

I mężczyzna z lampą w lewej ręce począł się powoli przysuwać do nieznanego. Nagle zatrzymał się, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę rewolweru.

Stał chwilę, drżąc wobec niebezpieczeństwa i patrząc ze strachem w oczy utkwione w niego jak dwa ostrza, spoza binokli.

— Coś pan za jeden? — wybąkał — ja pana nie znam.

— I nie masz pan potrzeby mnie znać. Czy mogę wejść do pokoju?

— Proszę.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę. Nieznajomy pewnym krokiem wszedł do izby. Duży pokój z nierównym sufitem, z małym oknem. Żelazne łóżko stało przy drzwiach; w łóżku leżała jakaś dziewczyna z młodą, ale zniszczoną twarzą, pokrytą gęstą warstwą jakiejś taniej farby.

— Ach! — krzyknęła, okrywając się kołdrą.

— Milczeć! — rzekł groźnie gospodarz mieszkania.

Postawił lampę na stole sosnowym, założył ręce na piersiach i zapytał krótko:

— Więc?

— Czy to pana dzieci?

— Co to pana obchodzi?

— Chcę wiedzieć!

— W jakim celu?

— Chcę od pana te dzieci kupić.

— One nie są do sprzedania.

— Ile pan żądasz?

— Chce pan je kupić?

— Mów pan, ile pan chcesz rubli za Antka i Mańkę?

Antek i Mańka stali nieporuszenie.

— Ile chcę? Po co panu te dzieci?

— Potrzebne mi są.

— Na co?

— Rozmowa nasza trwa zbyt długo.

Na zwiędłej twarzy opiekuna dzieci widać było jakąś walkę. Był nietrzeźwy i trudno mu było zebrać myśli.

— Ja mam z nich duży dochód — rzekł wymijająco.

— Więc policz pan więcej.

— Tysiąc rubli pan da?

— Za dwoje czy za jedno?

— Za... no tak, za jedno; rozumie się, że za jedno.

— Więc dwa tysiące rubli?

— Hm, Mańka nie jest moją córką, ale...

— Ale?

— Ale ja mogę pomówić z jej matką. Może się zgodzi.

— Kiedy pan pomówi?

— Jutro.

— Ja chcę rzecz załatwić od razu, teraz.

— Trzy tysiące pan da?

— Dam!

— Zaraz?

— W tej chwili. Pan ma papiery dzieci przy sobie?

— O, papiery w porządku.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni.

— Panie, ja panu ufam.

W tej chwili przez drzwi wsunęła się ruda głowa Żyda.

— Czy?...

— Precz, wynoś się... Antek, patrz, żeby nie podsłuchiwał.

Dało się słyszeć szamotanie za drzwiami, przytłumione wymysły, wreszcie wszystko ucichło; Antek wrócił.

— Ufam panu — ciągnął nieznajomy — że pan mnie śledzić nie będzie, gdy wyjdę, że dzieci te będzie pan uważał z chwilą otrzymania pieniędzy za moją własność.

— O, masz pan na to słowo honoru — rzekł z teatralnym gestem pijak.

— Sto, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset — liczył przybyły, układając nowe sturublówki.

Pijał brał je między palce, patrzył pod światło.

— Czy pan jest właścicielem cyrku?

— Może.

— O, to pan dobry interes robi.

— Ja nigdy złych nie robię.

— Napije się pan ze mną?

— Dziękuję.

— Gardzi pan?

— Tu jest całe trzy tysiące. Proszę o papiery.

— Proszę bardzo: metryki, świadectwa pochodzenia, nic więcej nie potrzeba.

— Za godzinę wyjeżdżam za granicę... Dzieci, idziemy.

— No, chłopcze, sprawuj się dobrze. Widzisz, ten pan bogaty, wyrób się, pamiętaj, a o ojcu nie zapominaj, jak ci będzie dobrze.

— Idziemy — powtórzył nieznajomy.

Antek i Mańka szli jak uśpieni. Ojciec sprowadził ich na sam dół aż do ulicy.

— No, Szmul, dawaj spirytusu.

— Niech no mi pan Andrzej powie, co on chciał? Po co on tych małych wziął?

— Ano, kupił ich.

— Jak to kupił?...

— Kupił, zapłacił 3000 rubli gotiu⁶. O, patrzaj, Żydzie.

— Co, 3000? Czy on wariat?

Szmul wybiegł przed szynk, ale Andrzej pochwycił go za kołnierz i wciągnął na powrót do sklepu.

— Dałem mu słowo honoru, że go śledzić nie będę.

— No, to niech pan nie śledzi. Ja słowa honoru nie dawałem.

Szmul wyrwał się, wybiegł na ulicę. Było pusto. Biegł najbliższą drogą w stronę miasta, wołał, biegał. Nikogo nie było.

— Aj! aj! Trzy tysiące. Dlaczego pan nie żądał sześć albo osiem?

— Wystarczy i trzy.

— A może to fałszywe?

— Kupisz je za połowę ceny?

— Dlaczego nie?

— No, to przynieś mi kolację na górę, tylko pamiętaj, dobra żeby była.

Andrzej wyszedł ze sklepu do siebie. Szmul zamknął szynk, zaniósł wódkę, kiełbasę i jajecznicę na poddasze i wziął się do liczenia kasy:

— Oj! oj! dziecko sprzedał, dziecko sprzedał. Czy on jest człowiek?

Wszedł do alkowy, ucałował po kolei swoje śpiące w miękkich betach bachory i rozbierając się, myślał dużo. A potem położył się i długo nie mógł zasnąć, bo nie wiedział, co to za pan, co to za pieniądze i co to za ojciec, który dzieci swoje sprzedaje.

A pan Andrzej, podnosząc w górę kieliszek i uderzając nim o kieliszek ulicznej dziewczyny, wołał:

— Za zdrowie Antka!

A potem, spluwając, dodał:

— Psia krew! To ci dopiero jestem bogaty teraz!

II. Co to będzie?

Antek i Mańka szli spokojnie, trzymani mocną ręką mężczyzny.

Antek myślał z trudem.

Przed godziną chodził w Alejach i sprzedawał kwiaty, potem spotkał tego pana, ten pan tak dziwnie z nim mówił, potem Antek odszedł sobie, znów sprzedawał kwiaty, potem kupił papierosy, bił się z Wickiem, uciekał, potem...

„Co teraz będzie z nami?” — zadał sobie pytanie.

Może ojciec wziął pieniądze i odbije go teraz? A może, nie czekając na pomoc niczyją, uciec samemu wyrwać się i uciec? A jeżeli ucieknie, co się stanie z Mańką?

Próbował wysunąć rękę. Nie można. Ręka przewodnika trzyma go silnie.

Nie, uciekać nie warto. Trzeba zobaczyć jeszcze. Uciec ma czas. Mańki nie zostawi. Mańka — dziewczyna, głupia — sama sobie nie poradzi. A może mu lepiej tam będzie?

E, chyba lepiej to mu nie będzie. Wywiezie go nieznajomy z Warszawy, a w Warszawie jest dobrze, wesoło. Dawniej, to co innego. Nie umiał Antek „chodzić koło interesu”, wstydził się jakoś, mało zarabiał i brał od ojca *wnyki*⁷. Ale teraz. Zawsze miał swojego rubla, papierosy, piwo stawiał kolegom, a Saska Kępa, a cyrk...

A może ten pan jest właścicielem cyrku? Antek zna cyrk. Wielka sala. Tysiące ludzi. Światła się palą. Arena wysypana żółtym piaskiem. Muzyka gra. Lokaje stoją we frakach, w rękawiczkach, mają złote pasy przy kieszeniach. Tyle złota, tyle jasności, tak głośno. Biją wszyscy oklaski, a jeździec wyjeżdża na koniu w trykotach, z aksamitną przepaską, z różnego koloru blaszkami. Jeździec kłania się, a wszyscy klaszczą. Muzyka zaczyna znów grać. Błazen coś mówi, przewraca się, kręci, woła lokajów, bije ich po twarzy, ale tylko tak, naumyślnie. Taki śmieszny. Wszyscy się śmieją. Jeździec zacina konia. Koń śliczny, tłusty, ma cienką szyję i tak stawia nogi jakoś dziwnie, ale ślicznie. Zaczyna się przedstawienie. Siodło na koniu płaskie. Skoczek staje na koniu. Rzuca piłki i chwytą je w powietrzu. Przeskakuje przez koła z bibułą, przez szerokie szarfy. Orkiestra wygrywa coraz głośniejsz. Koń pędzi prędko, przechyla się do środka areny. A ten nie spada.

Ach, jak to pięknie.

Albo ci na trapezach. Ten pan pewnie dlatego właśnie kupił go z Mańką, żeby nauczyć ich na trapezach robić sztuki. Widział jeszcze mniejsze dzieci. Ach, jak to ślicznie.

Antek przyśpiesza kroku. Już kończy się Powiśle. Za chwilę wejdą na ulicę śródmieścia.

Dokąd on ich prowadzi?

Nieznajomy idzie miarowym krokiem, nie patrząc na swoich więźniów.

Antek myśli dalej.

Czy on też prędko nauczy się tak przeskakować z trapezu na trapez? W cyrku biją. A ten go przecież kupił. Dlaczego ojciec go sprzedał? Ba, trzy tysiące rubli. Teraz ojciec jest bogaty. Może kupi sobie powóz i karetę.

Antek zrobił rozpaczliwy ruch. Dziecko Powiśła lękało się śródmieścia o tej porze. Ale dłoń nieznajomego ścisnęła jak żelazna obręcz jego drobną rękę. Tylko kości trzeszczały w stawach.

Ulica zalana potokami światła. Pieszycy nie ma, ale powozy wśród głośniejszych okrzyków i śmiechów pędzą środkiem „po kawalersku”.

— Ja nie chcę iść — mówi Antek.

— Boisz się? — pyta nieznajomy.

— Nie.

— A dlaczego nie chcesz iść?

— Bo nie chcę.

— Będziesz mógł wrócić do ojca, jak nie zechcesz zostać u mnie.

— Prawda była.

— Nie wierzysz mi?

— A tak. Jak nas pan wywiezie, to nas już sam diabeł nie znajdzie.

— Mówię ci, że będziesz mógł wrócić.

— Pan myśli, że „fater”⁸ panu odda pieniądze?

— Chodź, w hotelu pomówimy jeszcze.

— No, dobrze — zgodził się chłopiec.

Na rogu ulicy wznosił się hotel.

— A daleko to? — zapytał jeszcze Antek.

— O, tu naprzeciwko.

Przeszli środkiem ulicy. Weszli do wielkiej bramy; na lewo prowadziły schody. Schody były wysłane dywanami. Na półpiętrze lśniło wielkie lustro. Jasno jak w cyrku. Antek rozglądał się swobodnie. Mańka lękliwie stąpa w swych zabłoconych bucikach po miękkim dywanie.

Portier tak groźnie spojrział na dzieci, gdy wchodziły.

Już są w numerze.

Na progu wita ich stary lokaj zapewne, bo zdejmuje przybyłemu palto. Obecność dzieci nie zadziwia go. Starzec jest wzrostu wysokiego, ma siwe przygasłe oczy, wielkie białe brwi i wąsy, a włosy mu błyszczą jak srebrne. Nie mówi nic.

— Idź, Macieju, zapłać rachunek i zamów karete.

— Słucham jaśnie pana.

Zrobił zwrot wojskowy i wyszedł.

— Idźcie do pokoju.

Antek wchodzi do sąsiedniego pokoju, za nim Mańka. Antek rozumie, że dziewczyna widzi w nim opiekuna i to go napełnia dumą.

— Niech pan powie, co pan chce z nami zrobić?

— Dowiesz się niezadługo, teraz nic wam nie powiem.

— To my nie pojedziemy.

— To ja każę aresztować was. Widziałem waszą walkę na noże.

— Nieprawda, ja nie miałem noża — zaprzeczył żywo Antek.

— Widziałem. A teraz idźcie się naradzić. Ze mną albo do więzienia.

Wśród towarzyszy Antka niejednen już „doił kozę”⁹; dumni byli z tego chłopcy, opowiadali o tym. Była to arystokracja wśród chłopców. Ale Antek... jeszcze bał się murów więziennych i krat żelaznych.

Nieznajomy zamknął drzwi za dziećmi.

— Wiesz Mańka, jeść mi się chce — zaczął Antek, nadržając miną.

— I mnie też — rzekła Mańka.

— Niech nam da coś jeść.

— Przecież mu nie powiesz?